

ANTTI TUOMAINEN



PARADOKS & OSIA

ALBATROS

Tytuł oryginału:
HIRVIKAAVA

Copyright © Antti Tuomainen 2021

All rights reserved

Published by agreement with Salomonsson Agency

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Bożena Kojro 2024

Redakcja: Justyna Techmańska

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Mark Swan

Opracowanie graficzne okładki polskiej:

Kasia Mieszka / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Zdjęcie na okładce: eelnosiva/Shutterstock

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



NOWY BUDŻET JEST GOTOWY o wpół do jedenastej. Z powodu szybko zmieniających się warunków zostałem zmuszony do jeszcze większego ograniczenia wydatków i odwołania już ogłoszonych inwestycji, ale dokonałem selekcji sprawiedliwej dla wszystkich stron i działów. Własne wynagrodzenie obniżyłem do zera. Sporządziłem także osobny plan w celu stworzenia bufora zabezpieczającego na wypadek kryzysu, żeby podobna sytuacja – nie mówiąc o bankructwie, które jeszcze niedawno nam groziło – się nie powtórzyła. Konstruowanie bufora wymaga cierpliwości i ostrożnych prognoz na wiele lat, lecz istnieje duże prawdopodobieństwo, że pewnego dnia się to opłaci. To samo mówią obliczenia: jeżeli będziemy postępować konsekwentnie i zaufamy faktom, poradzimy sobie. Ja mam w tym zakresie osobiste doświadczenia.

Matematyka uratowała mi życie i zdrowie psychiczne, dosłownie. Bo matematyka tak właśnie działa: ratuje ludzi.

Daje nam równowagę, jasność i spokój; pomaga widzieć sprawy takimi, jakimi naprawdę są, podpowiada, jak należy działać, żeby osiągnąć to, czego się chce. Chociaż sytuacja w parku przygody jest teraz trudna, to przyszłość maluje się w jasnych barwach: wszystko dzięki matematyce i za sprawą niewielkiego wysiłku. Moje poglądy i odczucia zmieniły się również dlatego, że w spokoju mogłem skupić się na wyliczeniach.

Ostatni klienci wyszli dawno temu i zgodnie z harmonogramem czasu pracy Kristian zamknął halę. Panujący w niej za dnia hałas przypomina grzmot wydawany przez morze. Teraz fale się uspokoily, jest zupełnie cicho.

Jeszcze raz sprawdzam tabelę zrobioną w Excelu. Okienka wydają się spójne, końcowe wyniki się zgadzają. Zauważam, że w zasadzie nie weryfikuję szczegółów, tylko sprawdzam je dla własnej przyjemności. Może właśnie tego potrzebowałem po tych wszystkich niespodziankach i zawirowaniach, jakie spotkały mnie ostatnimi czasy: starego dobrego liczenia, porządkowania i wyjaśniania spraw i powiązań. Nagle uzmysławiam sobie, że Schopenhauer czeka na podwieczorek i być może na towarzysza rozmów (co statystycznie zdarza się rzadziej, ale jednak się zdarza), i zamykam tabelę. Wstaję z fotela i mrugam. Oczy mam suche i – jak podejrzewam – zaczerwienione.

Drzwi na korytarz są otwarte, nie słyszę niczego, nawet dźwięków z pokoju Minttu K: jej niskiego, ochrypłego głosu, kiedy rozmawia przez telefon, radia ani nawet cichego

chrapania po wypitym drinku i wypalonych papierosach. Bola mnie plecy i znów myślę, że dobrze by było zacząć ćwiczyć, ale przecież wiem, że nie znajdę na to czasu. Właściciel parku przygody nigdy nie odpoczywa. Tak to, niestety, wygląda.

Patrzę przez chwilę na zewnątrz, ale nie widzę niczego poza pustym w ten listopadowy wieczór parkingiem. Nagle moją uwagę przykuwa jego lewy brzeg. Mija kilka sekund, zanim cały obraz pojawia się w mojej głowie.

Miejsce to znajduje się między dwoma latarniami; ich światła ledwie sięgają metalowych i gumowych elementów, dlatego dopiero po pewnym czasie dociera do mnie, na co właściwie patrzę.

To rower.

Jest oparty o stojak i właściwie wygląda jak każdy zwykły rower. Moje zdziwienie budzi jednak jego lokalizacja. Pod każdym względem bezsensowna: daleko stamtąd zarówno do drogi, jak i wejścia do parku. Daleko do wszystkiego. Przyglądam się rowerowi przez chwilę, ale nie wiem, czego się spodziewam. Jest pogrążony w półmroku. W końcu dochodzę do oczywistego wniosku: ktoś go tutaj po prostu zostawił.

Zamykam komputer, biorę szalik i kurtkę z wieszaka i ubieram się. Gaszę światło w pokoju. Idę przez ciemną halę do tylnych drzwi. Nie chcę korzystać z głównych, bo ich ponowne zamknięcie zawsze wymaga kilkukrotnego sprawdzenia i upewnienia się, że wszystko w porządku. Wyjście

tyłem jest łatwiejsze i szybsze.

Staję na rampie załadunkowej, schodzę po metalowych stopniach na tylny dziedziniec i okrążam budynek. Z dala dochodzi do mnie szum samochodów, moje kroki rozlegają się wzmożonym echem.

Noc pachnie końcem jesieni, powietrze jest ostre, ziemia mokra nawet pomimo braku deszczu. Podchodzę do rogu budynku i widzę jego cały lewy bok, a dalej kawałek parkingu. W tym miejscu działka jest najwęższa. Odległość od ściany budynku do końca wyasfaltowanego placu wynosi może pięć metrów, a dalej teren opada ostro w stronę rowu i znów wznosi się stromo, aż do granicy małego, rzadkiego lasu. Idę wzdłuż ściany i parking przypomina mi coraz bardziej zwięzający się korytarz. Jakby las zbliżał się do budynku jednolitym frontem, małymi, nieuniknionymi krokami. Tak oczywiście się nie dzieje, to tylko moja wyobraźnia. Natomiast jak najbardziej rzeczywiste jest to, że rower zniknął, chociaż najpierw wydaje mi się, że źle widzę.

Może ktoś miał jakąś sprawę do załatwienia nocą w lesie. Każdy z nas jest inny, jak wielokrotnie miałem okazję się przekonać. Jeżeli jakiś człowiek chce zrobić coś wśród rosnących w Vantaa świerków, coś takiego, czego nie mógłby zrobić gdzie indziej, to dlaczego miałyby sobie tego odmawiać i nie spędzić upragnionej chwili w wybranych przez siebie zaroślach, a potem kontynuować podróż, bogatszy o jedno doświadczenie? Ale moje myśli przypominają słabo zapalające się zapalki – rozbłyskują i w tej samej chwili gasną. To

są myśli życzeniowe, wiem o tym.

Nagle kogoś widzę.

Mężczyznę, który biegnie prosto na mnie.

Przypomina kulę do kręgli, która ma nogi.

Wygląda to tak, jakbyśmy obaj znajdowali się na torze w kręgielni. Wyasfaltowany teren jest wąski i długi. Kula toczy się pośrodku z szaloną prędkością, a ja jestem kręglem stojącym na końcu. Na dodatek Kula nabiera rozpędu. Odwracam się natychmiast, gdy tylko uświadamiam sobie, co się dzieje. Zaczynam biec i widzę, że róg budynku i tylny dziedziniec są zdecydowanie dalej, niż sądziłem.

Nadal czuję się zeszywniały po godzinach spędzonych w fotelu nad pracą. Już po pierwszym kroku zdaję sobie sprawę, że Kula jest ode mnie szybszy. Ale nic innego mi nie pozostaje, muszę biec. Jednocześnie oglądam się za siebie.

Kula do Kręgli jest ubrany w granatowe dresowe spodnie, czarną albo niebieską bluzę i czarną czapkę nasuniętą na twarz. Jego krótkie nogi poruszają się jak na filmie rysunkowym i w pewnym momencie zamieniają się w błyskawicznie obracający się wiatrak. Ręce machają do taktu podczas wyłożonego biegu niczym cylindry pracujące na wysokich obrotach. W każdej innej sytuacji obserwowałbym to z czystej ciekawości. Biegnę tak prędko, jak tylko mogę, a mimo to słyszę zbliżającą się maszynę.

Róg budynku jest już przede mną.

Za nim znajduje się rampa załadunkowa, a na jej końcu stoi drabina prowadząca na dach. Nie mogę wymyślić

nic innego. Jeżeli tylko uda mi się dotrzeć do drabiny, a po niej na dach, stanę na nim i skopię dłońe wspinającego się człowieka. Oczywiście jest to rozwiązanie awaryjne. Trudno mi nakreślić kilka alternatywnych scenariuszy, nie mówiąc o zastanawianiu się nad najlepszym, gdy Kula się toczy, a ja jestem kręglem.

Zbliżam się do oddalonego o piętnaście metrów rogu budynku i w ostatniej chwili zmieniam kurs.

Biegnę ku rampie załadunkowej, mam tylko kilka kroków do stalowych schodów. Staję pod nimi i wchodzę po skrzypiących stopniach na pomost. Znów biegnę. Widząc przed sobą drabinę, myślę, że jednak do niej dotrę, a potem wejdę na dach. W tym momencie...

Kula do Kręgli uderza mnie w plecy.

Pod wpływem uderzenia lecę do przodu, jakby ktoś wyrzucił mnie w powietrze. Padam na brzuch i leżę na stalowej kratce. Próbuję wstać, ale nie mogę. Na moich plecach siedzi koń. Właśnie takie wrażenie odnoszę. Jakby role jeźdźca i rumaka się odwróciły.

Kula do Kręgli przygniata mi plecy, chwytą moją głowę – czuję na skroniach krótkie, ale mocne, zimne palce – i podrywa ją do góry, a potem... wbija w dół.

Moje czoło uderza o stalową kratę, raz, drugi, trzeci. Słyszę głuchy metaliczny dźwięk zarówno w uszach, jak i we wnętrzu ciała. Chwytam mężczyznę za nadgarstki, ale są jak rurki ciepłone wkopane w ziemię, grube i solidne. Co oznacza, że nie będę mógł ich powstrzymać. Napastnik wali

moim czołem w kratę, a potem, gdy podnosi mi głowę, a raczej ją podrywa, widzę przed sobą po lewej połamane kawałki deski, które wykorzystałem do naprawiania Truskawkowego Labiryntu.

Wyciągam tułów i ramię. Chwytam za koniec dwuczęściowej deski w kształcie litery L i przysuwam ją do siebie centymetr po centymetrze, aż udaje mi się zacisnąć na niej dłoń. Mężczyzna nadal młóci moim czołem o kratę, a ja podejrzewam, że stal niedługo pęknie. Mam mało czasu. Chwytam deskę tak mocno, jak tylko potrafię, obliczam szybko wysokość pleców Kuli i lokalizuję jego głowę, a potem uderzam ze wszystkich sił, które mi jeszcze pozostały.

Słyszę nieoczekiwany dźwięk. Miękki i mokry.

Palce odrywają się ode mnie, a koń na moich plecach się kołysze. Unoszę się na rękach. Kula znów się chwieje, tym razem mocniej, więc wydostaję się spod niego. Przesuwam nogi, wstaję i próbuję zerwać się do biegu. Ale nic z tego. Uderzenia czołem o kratę spowodowały u mnie silne zawroty głowy, więc idę tylko do przodu, stawiając ostrożne, chwiejne kroki. Zerkam za siebie. Kula do Kręgli ogląda coś na swojej dłoni, potem patrzy na mnie i podnosi to, żebym i ja zobaczył. Szybko uzmysławiam sobie, w co trafiłem młotem z deski.

Właśnie. W usta. To ząb.

Kula do Kręgli wyrzuca go. Ząb leci łukiem i znika w ciemności. Napastnik ociera zakrwawione wargi rękawem kurtki. I znów rusza przed siebie. Odwracam się i zaczynam

biec. Nie przeżyję następnych wolnych zapasów, to wiem. Biegnę dalej, a od drabiny dzieli mnie tylko kilkanaście metrów. Każdy mój ruch wymaga skupienia. Może dlatego nie zauważyłem, że na rampie załadunkowej pojawił się ktoś trzeci.

Ma na głowie kominiarkę i zbliża się do mnie od zaciemnionej strony. Biegnie w moim kierunku, potem odbija nieco w bok i widzę, że zamierza mnie ominąć.

W ciągu następnych dwóch i pół sekundy dzieje się dużo.

Kula do Kręgli znów mnie dogania, jest już ode mnie na wyciągnięcie ręki. Kominiarka zbliża się z naprzeciwka, porusza się w ciemności, więc Kula pewnie go nie widzi, a potem pochyla się w biegu, chwytając truskawkę i dociera tam, gdzie się znajdują.

Truskawka w ręce Kominiarki pochodzi z Truskawkowego Labiryntu, to ozdoba, ta sama, którą wyniosłem, żeby ją rozebrać i posegregować jej części, plastik do pojemnika na plastik, metal do pojemnika na metale. Miała średnicę około sześćdziesięciu centymetrów, a usunąłem ją, ponieważ się zepsuła i ostre krawędzie zagrażały bezpieczeństwu dzieci.

Próbuję zmienić kurs, ale tracę przez to równowagę i częściowo się odwracam. Widzę, co się dzieje.

Kominiarka i Kula do Kręgli wpadają na siebie z całym pędem. A właściwie powinienem powiedzieć, że Kominiarka uderza Kulę do Kręgli truskawką. A właściwie trzeba by

uściślić i powiedzieć, że Kula do Kręgli uderza w truskawkę. Plastik trzeszczy, głowa Kuli znika we wnętrzu truskawki, która klinuje się na ramionach mężczyzny i wygląda jak wielka czerwona czapa z zielonymi włosami. Mocne stalowe druty o ostrych końcach szarpią szyję Kuli, między innymi aortę, tak że ta pęka. W efekcie tego wszystkiego...

Człowiek z truskawką na ramionach zatacza się na rampie załadunkowej, a z jego szyi tryska krew.

Kręci mi się w głowie, w uszach szumi, utrzymuję się na nogach tylko dlatego, że opieram się dłońmi o kolana. Przychodzi mi na myśl, że jest wiele powodów zawrotów głowy i szumu w uszach: niedostatek tlenu, uderzenia czołem o pomost i widok przede mną. Mam wrażenie, jakbym oglądał nieudany fragment skomplikowanej magicznej sztuczki albo próbę pobicia rekordu.

Mężczyzna jest wyraźnie zdezorientowany, ogłupiały – kto by nie był, gdyby utknął w plastikowej truskawce z głęboką raną na szyi? – i nie zachowuje się rozsądnie. Wymachuje rękami na wszystkie strony, podskakuje kilka razy w miejscu, chociaż powinien...

Kominiarka zbliża się do niego na kilka kroków, mówi coś, czego nie słyszę, podchodzi z wyciągniętymi ramionami, żeby pomóc, jak mi się wydaje... Może ten z truskawką słyszy tylko kroki i źle rozumie sytuację? Albo coś innego wprawia go w popłoch, bo robi półobrót i rzuca się do ucieczki.

Z truskawką na głowie pędzi przez rampę, plując krwią

i wywijając nogami jak propeller.

Kominiarka biegnie za nim i znów coś krzyczy. Ale Kula tylko zwiększa prędkość. Wreszcie, zaledwie kilka kroków dalej, zaczyna się kołysać i za każdym razem zatacza coraz większy łuk. Kominiarka niemal go dopada, lecz ostatni ruch tego z truskawką uniemożliwia jakąkolwiek pomoc. Mężczyzna spada z rampy w ciemność.

Leci w strumieniach światła, truskawka się błyszczy, krew tryska w powietrzu, nogi młóćą...

Zmienione równania ulegają zachwianiu.

Grawitacja chwytą mężczyznę w objęcia.

OSIEM DNI WCZEŚNIEJ

1

PARK PRZYGODY WIDAĆ BYŁO z daleka. Jaskrawe, czerwono-żółto-pomarańczowe pudło, pod względem wielkości i kształtu plasujące się między domem towarowym Stockmann a lotniskiem. Jego długość wynosiła prawie dwieście metrów, wysokość piętnaście metrów, a na dachu stała tablica z wielkimi literami tworzącymi nazwę: Fun-Landia. Wiszące nisko listopadowe słońce oblało właśnie tablicę pięknym melancholijnym światłem, pozłociło asfalt parkingu mogącego pomieścić trzy boiska do piłki nożnej i wygładziło miękkim blaskiem budynek zrobiony z blachy i stalowych elementów.

Zatrzymałem się na światłach, popatrzyłem na park po drugiej stronie drogi i znów pomyślałem, że wygląda jakoś inaczej.

Coś się w nim zmieniło. Na trwałe.

To jest mój park, stwierdziłem i poczułem przyływ sił. Omal nie zginałem z jego powodu, wykopałem go spod góry długów i przekształciłem w miejsce, które może nie

przynosiło jeszcze dochodów, ale przetrwa – ze znacznym prawdopodobieństwem.

Zaledwie pół roku wcześniej musiałem zwolnić się z dużej firmy ubezpieczeniowej, w której pracowałem jako aktuariusz. Mogłem w niej pozostać pod warunkiem, że zmieni się mój zakres obowiązków: miałem wykonywać w piwnicy całkowicie pozbawione wartości obliczenia albo uczestniczyć w opartych na emocjach szkoleniach w zakresie dynamiki pracy zespołowej i zajęciach grupowych z jogi. Zaraz po rozwiązaniu umowy dowiedziałem się, że zmarł mój brat i że odziedziczyłem po nim park przygody. W parku dowiedziałem się, że odziedziczyłem również długi brata, który pożyczył pieniądze od przestępcy wagi ciężkiej. Jedna sprawa doprowadziła do drugiej i żeby ratować życie swoje i pracowników oraz park, musiałem uciec się do przemocy fizycznej w celu samoobrony i w wyniku mojego działania oraz uderzenia wielkim plastikowym uchem gigantycznego królika jeden z gangsterów zginął. Następnie założyłem bank udzielający kredytów konsumenckich, zlikwidowałem go, poznałem artystkę malarzkę, która obudziła we mnie nieznane mi dotychczas siły, musiałem unikać zarówno bandytów, jak i policjantów i byłem świadkiem czegoś, co sprawiło, że jeszcze teraz łapię się za szyję.

Po tych wszystkich wydarzeniach sytuacja finansowa parku nadal była trudna. Innym słowem nie mogę jej określić.

Do tej pory podjąłem wiele działań pozwalających

zredukować koszty prowadzenia parku i podejrzewałem, że będzie ich więcej. Starłem się dawać przykład na wiele różnych sposobów. Miałem najniższe wynagrodzenie ze wszystkich, sam płaciłem za swoje okazjonalne lunche i przekąski w parkowej kawiarni Kręczone Ciacho. Nie chciałem obcinać pensji innym, ale musiałem ingerować w fundusze poszczególnych działów. To wywoływało sprzeciw, lecz uzasadniałem rozwiązania starannie wykonanymi obliczeniami i przy każdej okazji podkreślałem, że musimy patrzeć na sprawy co najmniej w pięcioletniej albo dziesięcioletniej perspektywie. Po czymś takim na ogół zapadała cisza. Co z kolei dawało mi okazję przedstawiania działań oszczędnościowych, począwszy od tych większych (oszczędzanie energii: w hali panowała teraz średnia temperatura o półtora stopnia niższa niż miesiąc temu. Dzieci oczywiście tego nie zauważały, a pracownikom zamówiłem ciepłe bluzy firmowe), a skończywszy na mniejszych (sam pomalowałem Czarodziejską Drabinę w Zamku Harców – trochę pobrudziłem przy tym ścianę za nią, ale przynajmniej udało mi się zaoszczędzić).

Przeszedłem przez ulicę i dotarłem na parking. Mój nastrój polepszał się z każdym krokiem, fragmenty układanki wskakiwały na swoje miejsca. W sensie ogólnym i szczegółowym, w dłuższej perspektywie i w poszczególnych dniach. Równanie się formuowało. Wszystko stawało się jasne.

Tak wyglądało moje życie teraz. I co najważniejsze, znów panował w nim porządek.

Stawiając energiczne kroki, niemal przefrunąłem pod

główne wejście, automatyczne drzwi się rozsunęły, wszedłem do holu, jaskrawo oświetlonego i urządzonego w jasnych kolorach. Najpóźniej tutaj człowiek wyczuwał, że wchodzi do nowego świata. Właśnie takie wrażenie mnie ogarnęło. Dodatkowo pojawiło się też nowe, które rozpoznałem od razu. Uświadomiłem sobie, że czuję się jak w domu. Czy o to właśnie chodziło? Że to miejsce stało się moim domem?

Kristiana znalazłem za ladą. Podawał bilety wstępu zmęczonemu mężczyźnie, któremu towarzyszyło trzech znacznie niższych. Ci ruszyli energicznie w trzech różnych kierunkach parku. Mężczyzna odebrał bilety, obrócił się z niechęcią, zgarnął ich i wszyscy zniknęli w hali.

Przywitałem się z Kristianem. Spodziewałem się, że zobaczę jego pełen zapału szeroki uśmiech i usłyszę, jaki to był świetny albo wspaniały ranek.

– Dzień dobry – powiedział uprzejmie i nadal wpatrywał się w monitor komputera.

Był niezwykle skutecznym sprzedawcą i podchodził do swoich obowiązków z ogromnym entuzjazmem. Kontaktował się ze mną, wysyłając mi esemesy lub dzwoniąc po zakończeniu pracy. „Hej, szefie, czeka tutaj SUPERFAJNA niespodzianka!”, mówił czasami przez telefon albo pisał w wiadomości, a gdy przychodziłem do parku, stwierdzałem, że w punkcie samoobsługowym Kręconego Ciacha pojawił się jakiś nowy smak lodów. Dla niego każdy poranek był fantastyczny. Teraz klikał myszą. Bardzo mocno. Kliknięcia brzmiały jak pukanie. Spojrzałem za siebie. Kolejki nie

zobaczyłem. Już na parkingu zauważyłem, że w tej chwili mamy umiarkowaną liczbę klientów, jak można się było spodziewać w tę listopadową środę.

– Co za fantastyczny poranek – usłyszałem swój głos i zorientowałem się, że słowa wychodzą z moich ust właśnie dlatego, że nie zostały wypowiedziane przez Kristiana.

– Co? – spytał i spojrzał na mnie po raz pierwszy tego dnia. Jego wzrok skupił się na moich oczach, ale mimo to był jakiś rozmyty. Jakby Kristian bronił się przed tym, żeby na mnie patrzeć. Chciałem spytać, czy dręczy go konkretny problem i co go tak przyciąga w stronę monitora – wyginał szyję w bardzo nienaturalny sposób – ale w tej chwili popatrzyłem na wielki zegar wiszący w holu.

Dotarłem do miejsca odjazdu Lokomotywy z Komodo o jedenastej. Była jednym z najstarszych, najbardziej lubianych obiektów w parku, a jednocześnie jedną z najbezpieczniejszych maszyn; nawet ci, którzy nie mogli się zdecydować, żeby do niej wsiąść, byli później zadowoleni. Dla pewności zamontowaliśmy w wagonikach dodatkowe poduszki powietrzne. Według mnie była to przesada, ale funkcję szefa do spraw bezpieczeństwa pełnił Esa i jego zdaniem należało przygotować się na wszystko. Od jakiegoś czasu miałem świadomość tego, że jeżeli mówił „wszystko”, to naprawdę tak uważał.

Odnalazłem go za jednym z wagoników. Leżał na brzuchu i stukał młotkiem w podwozie. Jak zawsze otaczało go zepsute i gęste powietrze. I chociaż zajmował leżącą pozycję,

wyglądał tak, jakby w każdej chwili był gotów ruszyć do akcji. To wrażenie mogło brać się stąd, że jeszcze kilka tygodni temu stale nosił bluzy reklamujące amerykańską piechotę morską, sugerujące miejsce odbycia służby wojskowej ich właściciela. I chociaż ostatnio bluzy zniknęły, a w ich miejsce pojawiły się miłe w dotyku wełniane swetry z wizerunkami zwierząt, nadal dostrzegałem w Esie wojskowy sznyt i stan fizycznej gotowości, jakiego można chyba oczekiwać od byłego amerykańskiego marines.

– Czy poduszki powietrzne nie powinny znajdować się w wagonach? – spytałem.

Młotek zatrzymał się w powietrzu. Esa nie odwrócił się ani nie oderwał wzroku od podwozia.

- Znajdą się, jak przyjdzie na to czas – oświadczył.
- Przyjdzie czas?
- Gdy wzmocnię zaplecze.

Nie wiedziałem, do czego nawiązuje, ale takie komunikowanie się było dla niego typowe.

– Jak myślisz... ile czasu pójdzie na wzmocnienie zaplecza? – spytałem.

– W świetle aktualnych danych trudno mi przewidzieć. Operujemy ciągle przy niedostatku sił i na podstawie niekompletnych współrzędnych. Ostrzał trzeba jednak kontynuować...

– Jasne – powiedziałem szybko. – Muszę tylko zadzwonić do kogoś o wpół do dwunastej.

- Na pewno skończę później. – Mówił szybciej niż

zwykle: słowa wylatywały mu z ust jedną wiązką.

Rozejrzałem się wokół. Doprowadzenie Lokomotywy z Komodo do porządku nie stanowiło pilnej sprawy. Klientów było o tej porze mało i znaczna część z nich była starsza niż pasażerowie Lokomotywy z Komodo, a poza tym dzień ten zapowiadał się na dość spokojny. Esa znów wypuścił wiatr ze swojego wnętrza. Gdy poczułem na twarzy ciepły podmuch, przestałem oddychać przez nos, żeby powstrzymać odruch wymiotny, otworzyłem usta i od razu zaczęło mnie palić w gardle.

– Może wrócę później – zaproponowałem.

Młotek ponownie zaczął stukać. Esa nadal milczał.

Ruszyłem w stronę Ślizgacza i kiedy oddaliłem się na wystarczającą odległość – w przypadku Esy bezpieczny dystans wynosił około piętnastu metrów – wciągnąłem powietrze w płuca.

Kręcone Ciacho pachniało słodkimi wypiekami i zupą z łososia. Nasi mali klienci często zachowywali się głośno, tak jak teraz. Chociaż klimatyzacja chodziła na zwiększonych obrotach, w kawiarni nadal panowała wysoka temperatura. Wszystko to razem – gęste zapachy tłustych potraw, wysokie dźwięki i fakt, że było tu cieplej niż gdzie indziej – sprawiało, że przebywając w tym miejscu, czułem się zmęczony. Gdy wychodziłem z kawiarni, często zauważałem, że targają mną sprzeczne uczucia, które stanowiły chyba nieprzyjemną mieszankę senności i paniki.

Podszedłem do lady i zobaczyłem w kuchni Johannę.

Z witryny wziąłem bułkę maślaną i uniosłem talerz tak, żeby kucharka go zobaczyła. Zauważyła, że czekam, wrzuciła frytki do wrzącego oleju i przeszła na drugi koniec lady. Właśnie miałem powiedzieć, że chcę zapłacić za bułkę i zabrać ją ze sobą, gdy zaproponowała:

– Ja płacę. Weźmiesz jeszcze jedną?

Popatrzyłem na talerz. Potem znów na Johannę. Już przy pierwszym naszym spotkaniu kilka miesięcy temu pomyślałem, że jej twarz przywodzi na myśl odbywającą karę więzienia kobietę, która uprawia triathlon. I nie myliłem się. Kawiarnia była dla niej wszystkim. Nic tutaj nie działo się bez jej pozwolenia albo wbrew regułom, pisany lub niepisany. A ona nigdy – w żadnych okolicznościach – nie dała niczego za darmo. Teraz proponowała mi drugą bułkę.

– Potrzebuję tylko jednej – odparłem.

– Pomyślałam sobie, że może jednak chciałbyś dwie.

– Według mojej wstępnej oceny do podniesienia poziomu cukru we krwi wystarczy mi tylko ta – oznajmiłem i dziwnym sposobem poczułem się jak leżący brzuchem do góry żółw: nie mogłem się ruszyć, a nawet gdybym mógł, nie zaszedłbym daleko.

– A lunch? – spytała Johanna.

– Lunch?

– Gęsta Łososiowa Zupa Pirata Morskiego, Pędząca Kura, a dla wegan Brykająca Pieczeń z Tofu. Na deser Pudding Sprintera albo ulubiona przez dzieci i dorosłych Karmelowa Armata. Na mój koszt.

- Najpierw zjem tę...
- Miałam na myśli późniejszą porę – dodała Johanna.

Chciałem coś powiedzieć, choć nie wiedziałem co, ale zauważyłem, że utworzyła się za mną kolejka. Johanna także to dostrzegła, spojrzała na mnie i kiwnęła głową. Uznałem, że miało to oznaczać, że zostałem wypuszczony na wolność. Skorzystałem z okazji natychmiast, gdy tylko nogi zaczęły mnie słuchać.

Poszedłem w stronę swojego biura, minąłem Truskawkowy Labirynt, skąd jak zwykle dochodziły krzyki oraz tupanie dziesiątek biegających dzieciaków, skręciłem na prawo przy pełnym stukotów i pobrzękiwań Zamku Harców, okrążyłem Żółwiochody, w których właśnie zmieniali się kierowcy, powodując hałas i zamieszanie, i skierowałem się na korytarz, na którego końcu znajdował się mój pokój. Zdążyłem zrobić tylko kilka kroków i kiedy mijałem miejsce pracy Minttu K, szefowej działu sprzedaży i marketingu, ta mnie zatrzymała.

- Hej – szepnęła. W każdym razie tak mi się wydawało. Jej głos brzmiał niczym papier ścierny: przywodził na myśl piłę z dużymi zębami tnącą suche drewno, z tym że był znacznie niższy. Mimo wczesnej pory z pokoju Minttu K dochodził wyraźny zapach drinka pomieszany z dymem papierosów. Kiwnęła prawą dłońią, zapraszając mnie do środka. – Pomówmy o pieniądzach.

- Spotkanie marketingowe jest w czwartek – powiedziałem. – Na pewno będzie lepiej, jeżeli wrócimy...

Minttu K pokręciła głową i uniosła ciemnobrązową rękę,

połyskując srebrnymi pierścieniami.

– *Honey*, tesla nie zaczeka. Mistrz karate. Trzydzieści pięć tysięcy obserwujących na Instagramie.

Pociągnęła coś z czarnego kubka. Sądząc po wyrazie jej twarzy, nie podejrzewałem, że to kawa. Naczynie było równie czarne jak jej kostium ze spodniami, co najmniej o jeden numer za mały.

– Na co nam potrzebny mistrz karate? – spytałem.

– Karate Kids – odparła Minttu K. – „One tu rosną”.

Taki będzie slogan.

Zdmuchnęła krótkie jasne włosy z policzka. Wydawała się pewna swego, co mnie nie zaskoczyło.

– Przede wszystkim brzmi to bardzo ryzykownie, przecież nie prowadzimy szkoły samoobrony – zacząłem, czując, że robi mi się słabo. Muszę koniecznie dotrzeć do swojego pokoju. – Nie mamy pieniędzy na nic dodatkowego. Mówiłem o tym już wiele razy.

Minttu K obracała papierosa w palcach, chociaż nie zauważyłem, jak się pojawił w jej dłoni.

– Nie chcesz tego wykorzystać? – spytała ochryple i zanim zdążyłem odpowiedzieć, oświadczyła: – Okej. Będziemy wiecznie na drugim miejscu.

Ogarnęło mnie szczere zdumienie. Normalnie walczyła do tak zwanej ostatniej kropli krwi. A teraz, kilka sekund po, jak widać, zakończeniu rozmowy, dalej popijała spokojnie z kubka, zaciągała się intensywnie papierosem i swoim zwyczajem stuknęła w klawiaturę komputera, jakby przytapała ją

na nieposłuszeństwie.

Gdy ruszyłem dalej, przez głowę ciągle przelatywały mi krótkie spotkania z przedpołudnia i uświadomiłem sobie, że słabość, jaka mnie ogarnęła, miała konkretną przyczynę: narastała wraz z każdym kolejnym spotkaniem z którymś z pracowników parku. Teraz przewijały się one w moim umyśle coraz szybciej, nabierały mocy, głębi i życia; zacząłem widzieć i słyszeć coś, czego wcześniej nie zarejestrowałem. Kristian nie okazywał jak zwykle entuzjazmu, nie proponował reform, nie oferował ulepszeń od razu z rana; Esa nie spieszył się w kwestiach bezpieczeństwa, spokojnie coś naprawiał bez podawania terminu ukończenia pracy, Minttu K poddała się łatwo i natychmiast; Johanna zaproponowała na swój koszt drugą bułkę i spytała, czy miałbym na nią ochotę. Kiedy ostatnie zdanie skonkretyzowało się jeszcze bardziej i zaczęło coraz wyraźniej pobrzmiwać echem w mojej głowie, poczułem, jak ręka trzymająca talerz z bułką zaczyna drgać.

Skręciłem za załomem korytarza, wszedłem do biura i zatrzymałem się.

Bułka maślana podskoczyła.

Talerz wysunął mi się z ręki i rozbił na podłodze na kawałki.

Martwi powstali z grobów.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).